



Krzysztof Bonk
GENESIS II
-EEL-

Krzysztof Bonk

GENESIS II

– EEL –

MIŁOŚĆ

CZĘŚĆ III

Projekt okładki: Marta Frąckowiak
Konwersja wydania elektronicznego: e-bookowo
ISBN wydania elektronicznego: 978-83-7859-836-7

Wydawnictwo: self-publishing
Wszelkie prawa zastrzeżone
e-wydanie pierwsze 2017
Kontakt: bookbonk@gmail.com

Tekst na podstawie opowiadania Krzysztofa Bonka
ze zbioru R!P!G!: Genesis 2

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

I. ONA

Wiele rzeczy zwiastowało nadchodzącą zagładę. Na niebie pojawiły się ostrzegawcze znaki. Oświeceni prorocy kroczyli między ludźmi, przestrzegając przed zbliżającym się końcem. Lecz nasz świat pogrążony był w zachwycie nad nową technologią umożliwiającą podbój kosmosu. Przepelnieni nadzieją wyglądaliśmy tam niekończących się możliwości, nie zniszczenia. I wtedy z galaktycznego uniwersum wyłoniło się coś, co zostało nazwane Czarną Gwiazdą i obróciło wszystko w ruinę. Pojawiło się dosłownie znikąd, przysłaniając sobą słońce, wielkością znacznie przewyższające naszą rodzimą planetę. Wypuściło z siebie tysiące gigantycznych rur, które z impetem runęły na ziemską skorupę. Zasywały z niej wszystko, co napotkały na drodze, także głęboko penetrowały wnętrze Ziemi. Woda niemal zniknęła z oceanów. Tropikalne lasy przestały istnieć. Na powierzchni planety ziały olbrzymie kratery po wyrwanych z jej wnętrza złożach minerałów. Ludzkość w tym całym chaosie dogorywała. Mieniąca się wyższą rasą, potraktowana została jak insekt. Robak, którego po prostu można rozdeptać, gdy staje na drodze. Pozostała na planecie zgwałconej, wyjałowionej, konającej w bólu i niezdolnej do odrodzenia. Nie był to jednak koniec ziszczającego się koszmaru. Choć Czarna Gwiazda jakimś cudem zniknęła, razem z nią przybyli kosmiczni padlinożercy. Rasy, o których istnieniu człowiek nie miał pojęcia, a które na

Ziemi raczyły się resztkami po pańskiej uczcie i same zaczęły walczyć ze sobą o to, co jeszcze pozostało.

W tym całym piekle byłem i ja. Ten, który w przeddzień zagłady miał wzlecieć do gwiazd na swoją pierwszą misję. Ile to już minęło? Czas. W tym świecie nikt już nie mierzył czasu. Cywilizacja upadła, a wraz z nią upadało człowieczeństwo. Liczyło się tylko znaleźć trochę pożywienia, źródło stęchłej wody, leki na promieniowanie i broń, przede wszystkim broń. Po to, aby przeżyć jeszcze jeden dzień tej apokalipsy.

I wtedy pojawiła się Ona... I na przekór wszystkiemu, wszystko się odmieniło...

*

Na przedmieściach Vancouver na zewnątrz zrujnowanego centrum handlowego doszło do serii silnych eksplozji.

– Nadlecieli!

– Kto? pijawy!?

– To modliszki! Cały rój! Chyba starli się z szarymi! Wynosimy się stąd, natychmiast!

Dwójka mężczyzn i kobieta puścili się pędem przez halę pomiędzy poprzewracanymi regałami w dziale sportowym. Najszybsze z nich dopadło do drzwi na zaplecze, otworzyło je, a wtedy chlusnęła z nich zielona breja. Mężczyzna, który pociągnął za klamkę, nawet nie zdążył krzyknąć – jego ciało w jednej chwili zaczęło się rozpuszczać.

– Nie! – wrzasnęła kobieta. Drugi z mężczyzn szarpnął ją silnie i pobiegli dalej, tym razem w kierunku wybitych okien ściany budynku.

Przeskoczyli na parking pełen samochodowych wraków, gdzie trwała wymiana ognia. Nagle tuż obok nich doszło do potężnego wybuchu. Mężczyzna padł bezwładnie na ziemię i stracił przytomność.

Gdy się ocknął był już wieczór, a wokół panowała cisza. Potwornie bolała go głowa. W miejscu, gdzie wcześniej spoczywał, zasychała mała kałuża krwi. Rozejrzał się naokoło. Dostrzegł zwłoki towarzyszącej mu kobiety. Kolejnej osoby, która nie przetrwała przy nim nawet miesiąca, podobnie jak jej chłopak zaatakowany w hali.

Mężczyzna znowu pozostał sam – zdążył przywyknąć. Przeszukał ciało i zabrał trochę przydatnych rzeczy. Umieścił je w kieszeniach wysłużonego, czarnego płaszcza, który miał na sobie. Wstał i ruszył w kierunku zachodzącego słońca. Szedł, ponieważ w jednym miejscu, szczególnie takim jak to, lepiej było nie zatrzymywać się zbyt długo.

Po niedługim czasie usłyszał ciche rżenie. Pochylił się i przylgnął do samochodowego wraku, po czym ostrożnie wyjrzał ponad bagażnikiem. O betonową ścianę zrujnowanego domu opierała się ranna kobieta. Miała na sobie niespotykany skafander, w którym na wysokości piersi ziała wypalona dziura.

Mężczyzna wstał i wolnym krokiem udał się ku nieznamym. Skoro w okolicy niedawno rozegrała się bitwa, nie spodziewał się pułapki. Mimo to zapobiegawczo położył rękę na kolbie schowanego za paskiem pistoletu.

– Pomóż mi... – odezwała się słabym głosem kobieta, kiedy zatrzymał się koło niej. – Pomóż...

Przykucnął i podejrzliwie wpatrywał się w ranę na ko-

biecej piersi. Sączyła się z niej niebiesko-czerwona wydzielina. Skrzywił się na ten widok.

– Co to jest? – zapytał, wskazując na ciecz.

– Krew...

Nic nie odpowiedział. Przeniósł spojrzenie na błękitne oczy kobiety i raptem doznał świdrującego bólu wewnątrz czaszki. Czuł, jak nagle wzrosło w niej ciśnienie, aż pischowało mu w uszach. Jednocześnie zdał sobie sprawę, że nie może się poruszyć. Odniósł wrażenie, że ktoś przejmuje nad jego ciałem kontrolę. Z całych sił skoncentrował się na swoim umyśle i znalazł lukę tym czymś, co próbowało nim zawładnąć. Potrząsnął głową, wyciągnął pistolet i kolbę uderzył kobietę w twarz. Przystawił jej lufę między oczy i położył palec na spuście.

– Lue... – wyszeptała kobieta, której wzrok z lodowatego stał się pełny smutku i rezygnacji. – Tak się nazywałam, Lue...

– Roe... – przedstawił się ochryple mężczyzna. – Nie rób tego więcej. – Zdjął palec ze spustu, a drugą ręką pokazał na swoją głowę.

– Nie zrobię...

– Czym jesteś? – Przykuł uwagę do podejrzaney wydzieliny sączącej się z kobiecej piersi.

– Hybrydą.

– Jaśniej.

– Nie ma czasu na wyjaśnienia – odparła. – Teren przejęli ci, których nazywacie modliszkami. W każdej chwili może nastąpić bombardowanie z orbity.

– Możesz iść? – Mężczyzna pokazał lufą pistoletu na ranę kobiety.

– Nie sama...

– Pomogę ci.

Kiedy stanęli na nogach Lue odezwała się:

– Niedaleko stąd jest mój statek. Poprowadzę tam i odle-
cimy stąd.

– Dokąd?

– Byle dalej od piekła, jakie się tu niebawem rozpęta. –
Spojrzała w ciemniejące niebo. To samo zrobił Roe. West-
chnął głęboko na myśl o gwiazdach.

Po drodze przyglądał się nieufnie wspartej na jego ramieniu
kobiecie. Głęboka rana na wysokości serca powinna sprawić,
że nawet z jego pomocą Lue nie zdołałaby się utrzymać na
nogach. Ona natomiast nie dość, że szła to jeszcze przyspie-
szała kroku. Niewątpliwie więc nie była zwykłą istotą ludzką.
Jednak poza jej dwubarwną krwią, ściekającą obficie po ska-
fandrze, z zewnątrz przypominała po prostu młodą kobietę.
Szczupłą, średniego wzrostu, ze spiętymi w kucyk prostymi
włosami. Jej drobna twarz z wysokim czołem, wąskim nosem
i delikatnym podbródkiem wzbudzała zaufanie.

Roe pomyślał, że niewinny wygląd kobiety mógł łatwo
uśpić czujność. Dlatego pomny, że w jakiś niewyjaśniony
sposób postać ta niemal zawładnęła jego umysłem, tym bar-
dziej miał na nią baczną uwagę.

Wkrótce znaleźli się na wyjałowionym placu, stano-
wiącym niegdyś część wesołego miasteczka. Lue wyjęła z kie-
szeni kombinezonu przyrząd w kształcie breloczka i naci-
snęła kilka przycisków. Zniknęło pole maskujące i w cieniu
zniszczonego, diabelskiego młyna, parze ukazał się dużych
rozmiarów latający spodek. Otworzył się w nim właz, z któ-

rego wysunęła się rampa. Roe pomógł kobiecie na niej usiąść i odstąpił krok do tyłu.

– Na mnie już czas... – oznajmił obojętnie.

– Rozumiem... i dziękuję... – Kobieta popatrzyła na niego, jakby z wdzięcznością. Jednak zaraz jej twarz przybrała surowy wyraz. Odwróciła się i rzuciła oschle przez ramię – żegnaj.

Roe uśmiechnął się krzywo.

Wtem niebo rozjaśniła zielonkawa luna i ku ziemi zaczęły spadać dziesiątki fluorescencyjnych świateł.

Lue spojrzała do góry.

– To atak z orbity! – krzyknęła, po czym przeniosła wzrok na stojącego samotnie mężczyznę. Naraz szarpnęła go gwałtownie ku sobie. Nie stawiał oporu. Oboje znaleźli się wewnątrz statku. Kobieta już o własnych siłach dotarła do kokpitu sterowniczego i po chwili latający spodek wystrzelił z ogromną prędkością ku niebu. Pod nim, na ziemi, doszło do szeregu silnych eksplozji, gdzie gęsty brunatny dym zmieszał się z jaskrawo zielonymi jezorami ognia.

Tymczasem Roe zorientował się, że cała struktura kosmicznego statku była przezroczysta. Obracając się wokół własnej osi mężczyzna posiadał widoczność w promieniu trzystu sześćdziesięciu stopni. Ponadto w kokpicie nie zauważył żadnych ekranów czy przycisków. Na fotelu, gdzie zasiadła kobieta, założyła jedynie obszerne gogle i za ich sprawą manewrowała pojazdem.

Gdy znaleźli się na orbicie, w okolicach księżyca doszło do gigantycznego wybuchu.

– Co to było...? – wyszeptał wstrząśnięty widokiem Roe.

– Mój statek matka – odpowiedziała obojętnie Lue.
– To chyba źle...
– Tu nic nie jest dobre i już nigdy nie będzie.
– Zdaje się, że nie jesteś tu od wczoraj?
– Zagłady światów, to mój dzień, jak co dzień, jak mawiają ludzie.

– A na ile ty jesteś człowiekiem? – Roe spojrział krytycznie na kobietę.

– Mamy towarzystwo. – Lue pokazała kciukiem za siebie. Mężczyzna zauważył lecącą z tyłu eskadrę statków.

– Co robimy? – zapytał nerwowo.

– Uciekamy. Jesteśmy na statku badawczym. Nie mamy na wyposażeniu żadnej broni.

– Dokąd chcesz odlecieć? – Roe z coraz większym napięciem obserwował zbliżającą się grupę wrogich myśliwców.

– Udamy się w miejsce stworzone przez progenezę zagłady. Czarna Gwiazda, tak ją nazywaliście. My określaliśmy ją mianem Pożeracza Światów. Potrafił on stworzyć osobliwość, przez którą przemieszczał się do kolejnych układów. Utrzymuje się ona pewien czas po otwarciu. Z niej udamy się tam, gdzie jest bezpiecznie.

– Bezpiecznie dla kogo?

Kobieta nie odpowiedziała i rozpoczęła serię gwałtownych uników statkiem. Obserwując przemykające wokół latającego spodka niebieskie światła, efekty wystrzałów, Roe rzucił pośpiesznie:

– Jak daleko jest ta osobliwość?!

– Właśnie w nią wlatujemy.

W tym momencie jeden z wrogi pocisków dosięgnął celu.

Latającym spodkiem gwałtownie wstrząsnęło. Zgasły w nim światła i rozległ się przeraźliwy pisk. Oszołomiony Roe upadł na podłogę i zatkał sobie uszy. Naraz cała przestrzeń wypełniła się przeraźliwie jaskrawym światłem, a mężczyzna doznał uczucia, jakby zjeżdżał windą ze szczytu wieżowca. Następnie w przeciągu sekundy wszystko się uspokoiło. Oświetlenie powróciło do naturalnego stanu, a statek spokojnie dryfował w kosmicznej przestrzeni. Roe rozejrzał się naokoło. Nigdzie nie dostrzegł śladu pościgu.

- Przeskoczyliśmy – oznajmiła Lue.
- Czyli udało się...?
- Niezupełnie.
- Co masz na myśli?
- To nie jest nasza galaktyka – wyjaśniła kobieta.
- Rozumiem, że to zła wiadomość...?
- Mam gorszą.
- Strzelaj.
- Nie mogę namierzyć drogi powrotnej.